

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

2

— A jednak — odpowiedział tamten, ze spokojem, zdążywszy się już opanować — istnieje ślad po kuli, a zatem istnieje kula. Istnieje kula, a zatem istnieje morderca. Obdukcja zwłok, być może, dorzuci nam nowe szczegóły. Ale już teraz mogę ustalić stanowczo, biorąc pełną odpowiedzialność na siebie, że śmierć panny Goldoni spowodowała skrytobójcza kula. Strzał był nadzwyczaj celny... ugodził wprost w serce...

— Ależ nikt nie słyszał strzału! — krzyczał mu dyrektor policji wprost w ucho.

— Stoimy zatem przed zagadką. To tylko mogę ze swej strony powiedzieć, nie rezygnując ani trochę z mych twierdzeń. Rozwiązanie tej zagadki jest rzeczą policji, nie moją... Nie pozostaje nam nic innego, jak donieść o zbrodni odpowiednim władzom.

— Zbrodnia w mojej operze... Policja... Śledztwo... Ależ kto mógł na Boga!... Nic nie rozumiem... To straszne, okropne, ohydne... Kompromitacja wobec całego świata — jęczał, bełkocząc zdania bez związku dyrektor i osłabiony wzruszeniem osunął się ciężko na fotel.

— Ale co pan mówi na to wszystko, panie Spinelli?! — krzyknął nagle w stronę sekretarza ambasady pytanie. Wraz z lekarzem zawiśli na nim zdumionem i przerażeniem spojrzeniem. Dopiero teraz, rzeczby można, przypomnieli sobie o jego obecności w pokoju. Dopiero teraz uderzyło ich jego dziwne zachowanie się w obliczu tej wstrząsającej nowiny. Dyplomata stał przez cały czas milczący, nieporuszony, wsparty o framugę okna, paląc nerwowo cygaro. Bolesnym łukiem sfalowane brwi, blada maska twarzy, przygaszone oczy, mówiły o przeżyciach wieczoru. Pozornie zdawać by się mogło, że całkowicie pogrążony w swych posępnych myślach, przytłoczony bolesnym ciężarem, nie widzi wcale, co się wkoło niego dzieje. Niemniej jednak śledził on uważnie każde poruszenie lekarza. Gdyby ktoś spojrział mu bacznie w zmęczone i martwe oczy, mógłby wyczytać w nich na dnie straszliwy i dręczący niepokój. Ale, gdy od strony sofy padła z ust doktora wstrząsająca rewelacja: „zbrodnia!“, Spinelli przyjął tę wiadomość tak, jakby jej oczekiwał, jakby się z nią już dawno pogodził, jakby na nim nie zrobiła żadnego wrażenia. Z ust jego nie wydarł się żaden okrzyk grozy, boleści, zdziwienia, ani nawet ciekawości, niepewności, pytania... Milczał... Nie poruszył się nawet, nie zmienił pozycji, nie wyjął z ust cygara. Tylko kąciki ust mu zadrgały w jakimś nerwowym skurczu, który w innych warunkach, możnaby nazwać tłumionym uśmiechem. Ale w zestawieniu z resztą twarzy nadał on jej cechę zgoła niesamowitego wyrazu...

— Co pan mówi na to, panie sekretarzu? — powtórzył pytanie dyrektor.

Spinelli czuł na sobie zdumione spojrzenia. Zdołał się na wysiłek i zdołał wyjąkać:

— Straszne... Biedna Blanka!... Trzeba natychmiast zawezwać policję... Przeprowadzić śledztwo, dopóki zbrodniarz nie zatrze za sobą zupełnie i tak niejasnych w założeniu śladów...

Czuło się w jego głosie sztuczność, przymuszoną, nieszczerą...

Obaj panowie zmierzli go podejrzliwym wzrokiem.

W dziesięć minut potem sygnał automobilowej trąbki obwieścił przybycie policji.

— Tak, panie naczelniku — mówił dyrektor do głównego komendanta policji, wiodąc go korytarzami do garderoby artysty. — Wstrzymałem do pańskiego przybycia wszystkie osoby, które w krytycznej chwili znajdowały się na scenie, bądź za kulisami sceny.

— Czy kazał pan zamknąć wyjścia z gmachu w myśl moich wskazówek?

— Tak; przy każdym z nich nadto postawiłem stróża.

— Niech pan mnie powie, czy ktoś obcy, ukryty za kulisami podczas przedstawienia, mógłby wyjść potem bez zwrócenia na siebie uwagi, zanim teatralny personel opuści kulisę?

— Uważam to za wykluczone. Pod grozą natychmiastowego wydalenia ze służby nie wolno nikomu na własną rękę wpuszczać obcych osób za kulisę. Wydałem ten zakaz ze względu na zdarzające się dość często, ostatnimi czasy, wypadki

kradzieży. Bez specjalnego pozwolenia dyrekcji nikt obcy nie mógłby się znaleźć za sceną.

— A osoby, odwiedzające garderoby artystów?

— I te muszą mieć pozwolenie. Do garderób zresztą prowadzi osobne wejście. Drzwi zaś, wiodące do urzędów scenicznych, są zawsze przez woźnego strzeżone.

— Dobrze. Jeśli zatem zbrodniarz, wśliznąwszy się, dajmy na to, już z rana za kulisę, ukrył się wśród urzędów scenicznych, w przygotowaniu morderczego czynu...

— W takim razie — przerwał dyrektor, kończąc myśl komendanta policji — w takim razie nie wyszedł stamtąd jeszcze i znajduje się we własnej sieci.

— Ale jak pan komendant tłumaczy sobie fenomen bezgłosnego strzału? — zagadnął po pewnej chwili.

Zapytany nie odpowiedział. Przystanął. Na jego suchej, wygolonej twarzy znać było wyraz skupienia. Skinieniem ręki przywołał podwładnych, posuwających się za nim o dwa kroki w tyle i półgłosem dawał każdemu rozkazy. Rozbiegli się grupkami po gmachu.

Na drugim końcu korytarza zamajaczyła jakaś nowa postać, zbliżając się do komendanta policji.

— Dobrze, że pan już przybył, panie sędzio śledczy — rzekł ten, ściskając dłoń nowo-przybyłemu — będzie pan mógł zaraz rozpocząć robotę. Jest jej na kilka godzin. Wpierw wszakże oglądnijmy zwłoki i miejsce, na którym artystka padła przeszyta kulą. Prowadź pan, panie dyrektorze.

Gdy weszli do garderoby, dyrektor przedstawił im dyplomata.

— Pan był narzeczonym zmarłej? — zapytał sędzia śledczy.

Spinelli zmarszczył się.

— Owszem — skłamał bez wahania, chcąc uniknąć szczegółowych pytań na temat stosunku, jaki łączył ich po zerwaniu zaręczyn.

— Pozwolimy sobie potem jeszcze potrudzić pana — uprzejmie powiedział sędzia, poczem wraz z komendantem policji pochylił się nad zwłokami, słuchając fachowych objaśnień lekarza.

— Dziwne, dziwne — szeptał przez zęby komendant.

— A teraz poproszę pana — zwrócił się do dyrektora — pokazać nam miejsce zbrodni. Wszli na scenę. Sławny tenor G.***, który śpiewał partię Don Josego, udzielał im dokładnych objaśnień.

— Panna Goldoni w krytycznym momencie stała na tem miejscu — mówił, zakreślając ręką wokół siebie koło. — Dokładnie mi ta cała scena utkwiła w pamięci... Mogę ją sobie odtworzyć, jak żywą... Panna Goldoni śpiewała, zwrócona twarzą w kierunku widowni...

— Zatem strzał mógł paść tylko z głębi sceny — przerwał sędzia śledczy — tymczasem, jak pan nam mówił już przedtem, nikogo za panną Goldoni nie było...

— Nie, absolutnie nikogo.

Sędzia nerwowym krokiem podszedł w stronę kulis. Badał uważnie teren, który tak niedawno był widownią dramatu. Mierzył rozmaite odległości krokami. Po dłuższej chwili wrócił do grupki osób, stojącej na środku sceny i słuchającej relacji artysty. Wszystkie oczy zwróciły się pytająco na niego.

— A jednak — rzekł on z naciskiem — strzał mógł paść tylko z głębi sceny. Morderca musiał być na scenie...

— W kierunku, skąd mógł paść strzał, bezwzględnie nikogo na scenie nie było! — zakrzyknął nerwowo artysta.

— Nikogo przynajmniej z ludzi — dodał ciszzej, po chwili wahania.

— Chce pan powiedzieć, że za duchy, które się tam znajdowały, pan odpowiedzialności nie bierze. Niestety, „duchy“ nie podlegają mojej kompetencji — odpowiedział sędzia, z odcieniem pogardliwej ironji.

Przejdziemy do badania innych świadków — zwrócił się do komendanta policji — i do wysłuchania relacji pańskich ludzi, którzy, jak widzę, już zaczynają się schodzić...

— Oddaję panom do dyspozycji mój gabinet — wtrącił dyrektor z pośpiechem.

Ale czuć było, że już nie wierzy w skuteczność dalszych dochodzeń. I on był już teraz pewien, że w grę tu wchodzi jakaś moc nadludzka, choć wstydził się to wypowiedzieć.

Rozpoczęto niebawem badanie. Komendant policji odbierał sprawozdania od swoich podwładnych. Nie rozjaśniały one w niczym zagadki tajemniczego dramatu. W całym, dokładnie przeszukanym gmachu nie znaleziono nic podejrzanego. Zarządzona pod kierunkiem starszego komisarza re-

wizja wśród personelu teatralnego nie dała najmniejszych wyników. Zaczem sędzia śledczy rozpoczął przesłuchiwanie.

— Poprosić pana Carlo Spinelli — zwrócił się do jednego z agentów.

Po chwili zjawił się dyplomata. Na jego twarzy malowało się wciąż zmęczenie i zdenerwowanie. Widać było, że z trudem panuje nad sobą. Pod gradem pytań ze strony sędziego, tyjących się przeszłości artystki i jego do niej stosunku, mieszał się dość wyraźnie, dawał niejasne, mętne odpowiedzi, unikając spojrzeń sędziego. Sędzia wpał się w niego przenikliwymi oczyma.

— Pan odwiedzał narzeczoną podczas teatralnej przerwy. Czy pan zauważył u niej momenty jakiegoś niepokoju czy zdenerwowania? Czy nie zwierzała się panu z jakichś przewidywań lub obaw?...

Spinelli zmieszał się wyraźnie...

— Zdenerwowania?... Owszem... Była nawet bardzo zdenerwowana... Ale sędzę — dodał natychmiast z pośpiechem — że było to zwykłe u artysty zdenerwowanie przed dalszym występem... Czy zwierzała się z czego?... Właściwie... nie, nie przypominam sobie...

Łąkał się, mienił na twarzy. Czuł na sobie błędzące badawcze spojrzenie sędziego. Przelotnie chwycił znamienny błysk jego oczu. Wyczytał w nich straszne podejrzenie. Zrozumiał, że się zdradza z tem, z czem nie powinien się zdradzić. Zrozumiał, że musi cios natychmiast sparować. Ochłoniął w mgnieniu oka ze zdenerwowania. Opanował siebie. Wyprostował się dumnie na krześle i uderzył w sędziego zimnemi, ironicznemi oczyma. Mierzili się przez chwilę wzrokiem. Spinelli nachylił się zlekka ku sędziemu i wycedził z naciskiem, nie spuszczaając zeń oka:

— Pan się myli panie sędzio. Pan znajduje się na fałszywej drodze. Nie w tym kierunku powinien pan szukać sprawy zbrodni...

Sędzia zmieszał się. Spuścił oczy. Uczuł, że go odgadnięto. Machinalnie wyszeptał:

— Nie rozumiem pana. Nie mam pojęcia, co pan chce przez to powiedzieć...

Po chwili oświadczył krótko:

— Dziękuję panu. Nie mam już więcej pytań. Nie będę dłużej zatrzymywał pana.

Uklonili się sobie z przesadną grzecznością.

Gdy drzwi się za dyplomata zamknęły, sędzia głośno powiedział do siebie:

— A jednak wygląda on, jakby więcej wiedział o tej sprawie, niż wiedzieć powinien.

Ale nie wyciągnął z tego żadnych wniosków.

Spinelli natknął się na korytarzu na komendanta policji, który przechadzał się zdenerwowanym krokiem, czekając na ukończenie prac przez sędziego śledczego. Na twarzy jego malowało się przygnębienie. Zegnając się z dyplomata, rzekł:

— Jest to pierwszy wypadek w mojej policyjnej karierze, który nie rokuje najmniejszych szans rozwiązania. Brak nam zupełnie punktu zaczepienia dla jakichkolwiek hipotez. Boże! cóż to za strawa dla spragnionych sensacji dzienników — zaśmiał się z przymusem, nieszczerze.

Spinelli spuścił oczy.

— Naprawdę, można przypuszczać, że wchodzi tu w grę jakaś moc nadprzyrodzona — zaśmiał, kładąc nacisk na ostatnim słowie.

Urzędnik spojrzał wyniosłe na niego.

— Słowo „nadprzyrodzony“ wykreśliłem z mego urzędowego słownika. Zastępuję je słowem „niepojęty“ lub „niezrozumiały“... I taki też tylko charakter mogę nadać tej sprawie...

Zamienili z sobą jeszcze kilka słów banalnych, poczem Spinelli skierował się ku wyjściu z opery. Ratuszowy zegar wybijał pierwszą godzinę. Plac Teatralny tonął w głębokim półcieniu. Gdzieś tam tylko światło lamp elektrycznych worywało się w ciemność drżącą i rozlewną smugą. Kilka samochodów, oczekujących rozkazów błyskało z dala żrenicami przygaszonych latarni. Spinelli krzyknął na swego szofera. Od zbitej grupki pojazdów oderwał się wspaniały „Fiat“ i zataczając półkole, stanął przed gmachem opery. Spinelli zbliżył się.

— Antonio? — zapytał półgłosem.

— Jestem — odpowiedział szofer, zwracając się ku dyplomacie, jakby w oczekiwaniu rozkazu. Był to młody mężczyzna, o włoskim wybitnie typie. Z jego bladej i inteligentnej twarzy patrzyło ku Spinelliemu uważnie dwoje sprytnych, przenikliwych oczu.

Spinelli zmierzli go ponurym wzrokiem. Stał przez chwilę milcząc, jakby pasując się ze swemi myślami.

— Stało się — wyszeptał wreszcie zdławionym, nieswoim głosem.

Ciąg dalszy nastąpi.